

WŁADIMIROW.

## Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

2

To pytanie męczące świdrowało ich mózg.

W tem baron Budberg uczył na sobie spojrzenie jednego z aresztantów i gdy oczy ich spotkały się, poznali się wzajemnie.

Uwięziony odrazu domyślił się, dlaczego jego towarzysz przebrał się w uniform żandarmski i dokąd ich teraz powiozą. Spotykał się z nim dawniej w polskiej partii socjalistycznej, gdzie wspólnie pracowali.

Radość niedoopisania odbiła się mimowoli na twarzy więźnia i bar. Budberg wyczytał w jego oczach tak bezgraniczne poddanie się i wdzięczność, że zląkł się o pomyślny wynik całej sprawy.

Z miejsca też odwrócił się do niego plecami i żeby dozorca więzienia nie zanwałił błędnego, pełnego szczęścia wyrazu twarzy aresztanta odezwał się do dozorca w tonie ostrym i rozkazującym, czyniąc surową nwałę za powolność wyprawiania aresztantów, poczem skierowali się do wyjścia.

Dozorca zląkł się, zaczął gorączkować i z kolei, gdy groźny rotmistrz wyszedł z kancelaryi, wpadł z gniewem na strażnika więziennego i zmył mu głowę porządnie. Wyszedłszy na ganek, rotmistrz spotkał się ze starszym strażnikiem więzienia i krzyknął surowo:

— Pospieszyc! Wyprowadzajcie aresztantów!

To rzekłszy, wyszedł na podwórkę zobaczyć czy przygotowaną została karetka więzienna i czy wszyscy policyjanci są na miejscu. Tu odetchnął pełną piersią, wciągając głęboko świeże powietrze nocne i tem uspokoił nieco nerwy.

Cisza nocy, panującej na wszystkim dodała mu energii i nadziei w pomyślnie zakończenie niebezpiecznej imprezy. Karetka stała już przed ganek. Tu też znalazł on swoich, niby to drzemających, policyantów.

— Baczności! do szeregu — zakomenderował.

Policyjanci odrazu zerwali się na nogi i wyciągnęli klinem między ganek a drzwiami karety, w ten sposób, żeby żaden z więźniów nie mógł uczynić nawet próby ucieczki.

Wytworzyła się sytuacja interesująca w wysokim stopniu: ludzie ci przybyli do więzienia, żeby swoich towarzyszy, uwolnić lecz jednocześnie, znając wybornie psychologię aresztantów, musieli wyteżyc nwałę, żeby który z nich nie spróbował uciec lub nie okazał zbrojnego oporu, gdy będą wprowadzali ich do karety.

Najzwyczajniejsze to zjawisko w życiu więziennem — ucieczka w czasie przewożenia — mogła zepsuć całą sprawę, rozpaczna determinacja którego z nich, mogła przeszkodzić wróceniu im wolności.

Zabezpieczywszy wszelkie środki ostrożności, rotmistrz powrócił do kancelaryi, dokąd przeprowadzono już wszystkich więźniów w liczbie dzieściu. Obejrzał on ich uważnie i raz jeszcze oczy jego spotkały się z wejrzeniem towarzysza, doskonale pojmującego teraz ostateczny cel mistyfikacji.

Dyżurny w więzieniu, Maciniewicz, zwrócił się do rotmistrza z następującą propozycją:

— Panie rotmistrzu, trzeba zwiększyć pański konwój, ja dam moich ludzi. Mam straż konną.

Na tę propozycję Budberg nieprzyjemnie się zasepił, lecz zdobył się w odpowiedzi na ton miękki:

— Nie, nie potrzeba! moi chłopcy są, ludzie pewni... ufam im... wszystko zach... Dopełnij pan przeglądu aresztantów w mojej obecności... tylko prędzej.

Maciniewicz zaczął wywoływać nazwiska więźniów z listy.

Ta rozmowa o wzmocnieniu konwoju wywarła fatalne wrażenie na niektórych więźniach, którym wydało się, że istotnie powiodą ich na kaźń.

Baron Budberg, widział, jak jeden z nich, w przekonaniu, że go niebawem rozstrzelają, zbladł trupio i drżącymi rękami zbierał swe rzeczy, ręce jego tak się trzęsły, że w żaden sposób nie mógł związać dwóch książek i woreczka z cukrem. Żał było patrzeć na niego, lecz mimo to nie można było dodać mu otuchy.

Po sprawdzeniu, baron Budberg pokwitował z otrzymania więźniów i gdy położył już swój podpis, rzucił obsadkę na podłogę, czyniąc gniewną uwagę, że pióro było niemożliwe. Dyżurny tak wziął to do serca, że zaczął łajać starszego dozorcę od ostatnich, nie zważając nawet na obecność rotmistrza. Ten dołożył jeszcze i od siebie, gromiąc go surowo, że bez względu na jego rozkaz zbyt długo marudził z jednym z aresztantów.

Otrzymałszy tyle surowych napomnień, starszy

dozorca zupełnie stracił głowę i znikł z oczu zwierchników, a tymczasem zaczęto wyprowadzać więźniów na ganek.

W ostatniej chwili dyżurny Maciniewicz, nie należąc widocznie do ludzi zbyt odważnych, znów wystąpił z propozycją:

— Panie rotmistrzu, niech pan nie naraża siebie na nieprzyjemne wypadki w drodze. Wszystkiego można oczekiwać. Radzę, żeby pan przybrał jeszcze straż konną. Dla mnie nie sprawi to najmniejszej trudności... ludzie w tej chwili będą gotowi.

— Wszakże już raz pann powiedziałem, że nie potrzebuję konwoju — odparł rotmistrz opryskliwie — dlaczego więc pan mnie nudzisz? Moi chłopcy to zuchy i żadnej pomocy nie potrzebują.

Maciniewicz, umilkł, poczuwając się do winy, że ośmielił się dwukrotnie niepokoić rotmistrza swemi obawami.

### VIII. Porwanie więźniów.

Kiedy pierwsi aresztanci się ukazali na ganku, starszy policmajster zakomenderował:

— Obnażyć szable!

Policyjanci przysunęli się ciśniej do otwartych drzwiczek karety, z obnażonymi szablami. Starszy policyjant wprowadzał każdego po kolei do karety i pedantycznie spełniał wszelkie możliwe ostrożności, w tych wypadkach przepisane. Karetka więzienna, zaprzężona w parę koni, składała się z dwóch części, przedzielonych jedną od drugiej przegrodą w drzwi opatrzoną.

W pierwszej części, bliżej woźnicy, umieścili sześciu więźniów, poczem starszy policyjant zatrzasnął drzwi wewnętrzne i zamknął je na klucz. Pozostawało umieścić jeszcze czterech do drugiego przedziału karety, bliżej drzwi zewnętrznych.

W tej chwili na ganku ukazał się aresztant Judycki, który znany był w więzieniu jako człowiek opętany manią ucieczki. Wykonał on już raz próbę lecz niendana, w tym czasie, gdy go prowadzono na śledztwo do sądziego śledczego.

Jego pragnienie zrzućcia z siebie kajdan więziennych było tak wielkie, tak gorąco i szalenie rwał się do wolności, że stracił głowę i nie zdawał sobie sprawy, że próba ucieczki, gdy szedł przez miasto pod konwojem, nie miała żadnych szans powodzenia, rzucił się też do ucieczki bez opamiętania, lecz natychmiast był pochwycony przez konwój i okrutnie zbity. Bili go wtenczas bezlitośnie, z okrucieństwem, wymierzając na nim całą wezbraną w nich złość za szaloną próbę ucieczki.

I oto teraz na ganku ukazała się jego nieszczęsna pokaleczona figura, z zaciekami krwi na twarzy. Na jedną sekundę zatrzymał się on i rozejrzał jak zwierzę osaczony, jakby kombinując, w którą stronę rzucić się, czy nie ma gdzie jakiej niewidzialnej szczeliny, żeby z całą rozpaczą człowieka zdecydowanego na wszystko, skoczyć tam; śmierć w walce była wyjściem najlepszym i najbardziej npragnionem.

Starszy policyjant odrazu odgadł jego zamiary i groźnie krzyknął:

— No, no... dokąd?... Nie „ujdziesz!“

To rzekłszy, pochwylił go za kołnierz i wepchnął do karety.

Dyżurny pomocnik naczelnika więzienia, stojący w tym czasie na ganku i przyglądający się w milczeniu tej scenie, bezwiednie pomyślał, że istotnie nie potrzebują oni dodatkowego konwoju, później jednak, gdy ucieczka została ujawniona, Maciniewicz, opowiadał, że gdy zobaczył, jak policyjanci wypełniali swe czynności i jak starszy z nich załatwiał się zręcznie z Judyckim, zdradzającym zamiary ucieczki, wówczas błysła mu myśl, że nie są to prawdziwi policyjanci z surowej szkoły policyjnej, lecz udani, którzy przybyli tu, żeby go tak fatalnie urządzić...

Gdy starszy policyjant umieścił w karcie już wszystkich aresztantów, na rozkaz rotmistrza, który w tej chwili wyszedł na ganek, polecił jednemu z policyjantów wsiąść do karety i zamknąć za nim drzwi poczem rozkazał dwóm innym wsiąść na kozioł przy woźnicy, a sam z dwoma pozostałymi zajął miejsce z tyłu powozu.

W tej chwili brama rozwarła się, karetka więzienna wyruszyła na nlicę i skręciła na prawo od bramy.

Budberg pożegnał się wówczas z Maciniewiczem, wyszedł za bramę i wsiadłszy w dorózkę, odjechał.

Jego rola była skończona.

Wypełnił on ją z nadzwyczajną precyzją i spokojem, jak to mógł uczynić człowiek, działający w imię idei, całą duszą oddany na jej usługi, nie-

pomny na własne „ja“, na własną pomyślność i szczęście.

Na tem, zdawało się, zakończyły się główne i najbardziej niebezpieczne momenty przedsięwzięcia. Uciekinierzy znajdowali się już poza więzieniem, chociaż w zamkniętej karcie więziennnej, na której koźle siedział w charakterze woźnicy — stróż więzienny.

Baron Budberg już powrócił do domu, gdzie przez nikogo nie zanwany przebrał się po cywilnemu i najspokojniej siedział w przyjacielskiej kompanii, opowiadając swym towarzyszom najdrobniejsze szczegóły wyprawy nocnej.

### IX. Ucieczka

W istocie jednak, dopełniona była tylko pierwsza połowa skomplikowanego i trdnego przedsięwzięcia, pozostawała druga, chociaż mniej niebezpieczna, bądź co bądź ryzykowna operacja pozbycia się agenta policyjnego, który, przy najmniej, szem podejrzenia, mógł w każdej chwili wszcząć alarm i popsuć całą sprawę.

Wszędzie po nlicach snuły się patrole wojskowe, przy pomocy których łatwo było ndaremnie ucieczkę, tak pomyślnie dokonaną z murów więzienia.

Wszystko teraz zależało od umiejętności i przytomności nmysłu starszego policyjanta.

Lecz w jaki sposób uwolnić się od tego niepożądanego świadka na koźle?

W jego rękach leżało, on kieruje kareta... A chociaż na razie nie zwrócił uwagi na to, że kano mu jechać w przeciwnym od cytadeli kierunku, motywując to koniecznością wstąpienia uprzednio do 3 cyrkuł, mógł jednak w każdej chwili odgadnąć mistyfikację i oddać wszystkich w ręce władzy.

Zadanie ciężkie i trudne... Wymagało ono przytomności i odwagi...

Wielkiem utrudnieniem była ta okoliczność, że stracono zbyt wiele czasu wewnątrz więzienia i że świt się przybliżał.

Pierwsze przebliski budzącego się ranka już się wyczuwały w powietrzu i snuły w mgłę na poły przezroczystej, otaczającej kontury przedmiotów.

Nie można już było tracić czasu...

Oto już niedaleko ów cyrkuł, muszą koniecznie zawrócić w drugą stronę.

Za chwilę, być może zostaną zdemaskowani, o ile nie nda im się pozbyć woźnicy więziennego.

Chwila stanowcza nastąpiła... należało działać.

I oto, nagle, dał się słyszeć głośny krzyk starszego policyjanta:

— Stó—ój... Koło!...

Ten niezrozumiały okrzyk wwołał jednak wrażenie, woźnica odrazu wstrzymał konie, nie pojmując co mogło się stać; siedzący obok niego pseudopolicyjant zeskoczył z koźla, a za jego przykładem poszedł i woźnica, oddawszy lejce drugiemu policyjantowi, poczem, obydwaj podeszli do tylnego koła, w pobliżu którego stał starszy policyjant, nader nważnie przypatrując się czemuś. Gdy tamci podeszli, starszy policyjant, wskazując na oś, powiedział:

— Patrz, patrz, co się zrobiło?

Ten z kolei nachylił się i mocno wyciągnął się ku przodowi, usiłując rozpatrzyć się w tem, na co mn wskazywał policyjant.

I w tej to chwili, naraz, z obydwóch stron pochwyliły go dwie pary silnych rąk; momentalnie zatkało mu chustką usta, żeby nie mógł krzyczeć, poczem podniesiono go do góry i bez najmniejszego hałasu, bez jakiejkolwiek walki, wsnięto go do wnętrza karety więziennnej i złożono na ręce siedzących tam czterech aresztantów i jednego z pseudopolicyjantów.

Tam nakazał mu, żeby leżał spokojnie i nie próbował uczynić nic takiego, co mogłoby im zaszkodzić, gdyż momentalnie go zasztyletną.

Woźnica przyjął to natrnatnie do wiadomości bojąc się nawet oddychać.

Ze strachu dusza uciekła mu w pięty...

### X. W karcie więziennnej.

Nigdy przedtem, we wnętrzu tej ciemnej, dusznej karety więziennnej nie wyczuwały się tak ostre wrażenia i emocje dnchowe, jak owej nocy.

Zaledwie karetka wyruszyła wolno w drogę i znalazła się za bramą więzienia, policyjant, zwracając się do aresztantów, powiedział:

— Towarzysze!... Czy poznajecie nas? Nie upłynie kilka minut, a będziecie wolni... Winszuję wam!

(Ciąg dalszy nastąpi).